

Ruchy Piekielnej Ordy pozostawały niezmiennie, spokojne i powolne. Nie robili nic poza ciągłym marszem na północny-wschód i okazjonalnym wysyłaniem pomniejszych grup na zwiad. Ukrywanie się przed nimi nie sprawiało Geroyowi specjalnych trudności, jednak z drugiej strony wcale nie ułatwiały one jego zadania. Tak samo jak fakt, że ci, którzy dowodzili tym wszystkim, najwyraźniej chowali się gdzieś między swoimi wojownikami i nie wyściubiali nosa poza bezpieczny orszak.

Paladyn chciał po prostu dowiedzieć się czegokolwiek o swoich celach i nie wyobrażał sobie nawet, że pozna ich dokładne zamiary czy motywacje. Ale drobny pokaz siły z pewnością by nie zaszkodził. Podobno w taki sposób zdobyli władzę nad plemionami. Przez moment w głowie zaświtał mu szalony, głupi, samobójczy, ale i ciekawy pomysł: A gdyby rzucić im wyzwanie? Pojawić się znikąd i oznajmić, że chce walczyć o władzę? Pomijając barierę językową, pewnie zostałby zabity na miejscu. Bo do niewoli wziąć by się nie dał. Dlatego porzucił tę koncepcję i wrócił do obserwowania hordy albo z chmur, albo z bezpiecznej odległości.

Tak mu się przynajmniej wydawało.

*

Największym problemem Geroya okazał się sen. Paladyn musiał odpoczywać i choć starał się tę potrzebę ograniczyć do minimum, to nie mógł wyeliminować jej całkowicie. Frustrowało go, że tracił czas na oddalanie się od Piekielnej Ordy na bezpieczną odległość, a potem ponowne jej tropienie. Słabości ciała doskwierały mu bardziej niż presja jego zadania. Był tylko gryfem, w dodatku już niemłodym, choć w świetnej formie. No i bał się o swoich towarzyszy. Oczywiście wierzył w nich, a szczególnie w Goldenbeam, ale jego wiara niewiele znaczyła.

Kiedy starał się zasnąć, zawsze myślał o kapłance, o tym, jak zakłęła jego miecz. Przyszło jej to z taką... łatwością i pewnością. Słyszał to w jej głosie podczas modlitwy, widział w pewnych ruchach łap. I bardzo jej zazdrościł. Zazdrościł? Czy na pewno odczuwał właśnie to? Goldenbeam była taka niewinna, nieskalana, nie przeszła jeszcze prawdziwej próby. Geroy zastanawiał się, czy hipogryfka wyszłaby z niej zwycięsko. On nie wyszedł. Może od zawsze brakowało mu wiary? Może całe jego życie kręciło się wokół tego, czego wymagali od niego inni? Ta myśl sprawiała mu ból, czuł się przez nią pusty i niepotrzebny. Jak gdyby stanowił tylko tło jakiegoś obrazu, przedstawiającego wielkie i doniosłe wydarzenia. Jakby był tylko jednym ruchem pędzla.

Zerwał się z twardej ziemi i uderzył w nią łapami, wzbudzając tumany kurzu. Potem zamachnął się szponami, tnąc żdźbła wyschniętej trawy. To trochę go uspokoiło, ale wciąż nerwowo zaciskał pięści, raniąc się odrobinę. Oddychał ciężko, wpatrzony w pustkę.

Jak mógł doprowadzić się do takiego stanu?

– To miejsce źle na mnie działa – wycedził sam do siebie.

I przypomniał sobie, co Sigil mówiła o duchach. *We śnie jesteśmy bliżej nich, dlatego mogą do niego przeniknąć i zdarza nam się je czasem usłyszeć.* Czy to duchy tak o nim mówiły? Czyje duchy błąkały się po tym miejscu? Zebburdów? Miałoby to największy sens, jednak Geroy miał dziwne przeczucie, że to nie do końca prawda. W świecie Rogatego widział tylko niewyraźne sylwetki, powłóczące czterema nogami, ale czy wszystkie miały kopyta?

Sny... A gdyby tak postarać się posłuchać?

Geroy położył się z powrotem, zamknął oczy i spróbował wyczuć słuch. Było to oczywiście absurdalne, ale co innego mu pozostało? Wiatr szumiał w suchej trawie, porastającej pusty aż po sam horyzont step. Delikatne pagórki falowały w świetle gwiazd, nic nie mąciło tego obrazu ciszy i spokoju.

Gryfa szybko naszły wątpliwości i zwykły sceptycyzm. Westchnął, otworzył oczy i spojrzał w niebo.

Gryfie... Gryfie... Gryfie... Gryfie...

Geroy zeszytniał, zaciskając pięści. Faktycznie usłyszał duchy? Czy tylko mu się wydawało? Teraz słyszał już tylko szum wiatru.

Uciekaj... Uciekaj... Uciekaj... Uciekaj...

Paladyn powoli podniósł się i stanął na nogach. Rozejrzał się dookoła, czując gwałtownie rosnący niepokój. Zaczynało jakby... ciemnieć, jakkolwiek absurdalnie by to nie brzmiało w nocy. Geroy starał się to sobie wyjaśnić, ale nie mógł. Wiedział jednak, że jeżeli zaraz się nie ruszy, nie ruszy się już nigdy.

Machnął skrzydłami i poderwał się do lotu. I dobrze zrobił, ponieważ nagle całe miejsce stanęło w płomieniach, rozświetlających mroki nocy i rzucając światło na to, co się w nich kryło. Geroy obejrzał się raz i na krótko, ale zdołał dostrzec groteskową sylwetkę stojącą w ogniu. Co najgorsze...

– O! CHOLERA!

... miała skrzydła.